

# Robię to, co lubię, piszę, co chcę i mówię, co uważam za konieczne

**ROZMOWA** z Bernardem Nowakiem, pisarzem, redaktorem i wydawcą, właścicielem Wydawnictwa Test, w którym właśnie ukazały się „Wiersze i przekłady” Józefa Łobodowskiego

Waldemar Sulisz

## Korzenie rodzinne?

– Wchodzi już w ten wiek, w którym rzeczywistość trzeba zacząć opracowywanie rodzinnej mitologii... Są w tej materii spore przeszkody. Swego czasu mój starszy syn próbował narysować drzewo genealogiczne rodziny i dotarł najdalej do początków XIX wieku. Ze strony matki było to biedne chłopstwo, gospodarujące na mazowieckich piaskach, zaś ojca genealogia urywa się jeszcze wcześniej. To znaczy później.

Mama moja była Krpińska, zapowiadało się więc obciągając. Żył kiedyś poeta Francisek, żyje bp senior Ryszard, jest też reżyser Paweł – ale gdy podpytywałem o szczegóły, usłyszałem: „Synku, my to od karpia. Taki karp, korzeń. Tamtych panów nie znam”. Oczywiście ani w głowie było mi podawać tyły. Dziś twardo twierdze, że do rodziny należy kubański pisarz i muzykolog Alejo Carpentier, przy czym w tych koneksjach najbardziej pociągają mnie sprawy lingwistyczne. Mleć w rodzinie kogoś, kto podpisuje się Alejo Carpentier i Valmont to przecież nie lada gratka. Ojca rodzina był niemiecka, Weberowie i Paulusowie, nikt jednak nie wie, dlaczego i w jakich okolicznościach przybyła do Polski. Była też anty niemiecka; babcia spędziła trochę czasu w obozie Stutthof, ojciec zdezerterował z Wehrmachtu i ukrywał się przez dwa lata okupacji. Po 1945 szukało go NKWD. Zaszły się na jakiegoś odzyskanego wsi... I tam poznał mamę.

## Edukacja?

– No nie wiem, czy to dla kogoś ciekawe... Ale skoro zaczęliśmy, to brnijmy dalej. Szkołę zaczęłem w prewentyrium, potem w Malborku, później w poznańskich Smolcach. Polubiłem uczyć pani Ewa Pośpiech, która czytała nam lektury. Wszystko, co stało się ze mną później, zawdzięczam pani Ewie. Krotoszyńskie liceum wspominać jako okres nieustannej traumy. To była mieszanina pruskiego drylu i strachu partyjnych nauczycieli. No, troje nauczycieli było innych, ale to trochę za mało jak na trudny okres dojrzewania. Oddechem były pobyty w internacie. Tam działało się tyle, że mógłbym napaść swój własny „Amarecord”.

Na KUL trafiłem uciekając przed branką do wojska. Na miejscu przekonam się, jaka to fantastyczna uczelnia. Bo była fantastyczna, jedyna prywatna i katolicka, od Laby po Kamezatkę. No i wspaniali profesorowie: Irena Sławińska, Stefan Sawicki, Czesław Zgorzelski i wielu innych. Spośród mło-

dych wyróżniał się Ireneusz Opałek, niestety odszedł, by twórcy Uniwersytetu Śląski. Coś mnie wtedy podkusiło, by także ruszyć w drogę; przeniosłem się na UJ, w całkiem inną rzeczywistość. Mieszkałem w słynnym „Zaczku” – i to była najlepsza część pobytu, bo uczelnia jakoś nie zachwycała. Był Jan Błoński, jednak poza moim zasięgiem, nie było już Kazimierza Wyki ani Romana Ingardena. Włęcz... przeniosłem się do Warszawy, gdzie było jeszcze gorzej. Rzuciłem studia, zostałem stróżem pewnego placu na Targówku. Był to niezły uniwersytet życia, szczególnie kwatery w hotelu robotniczym. Po roku wróciłem na KUL i zająłem się Gombrowiczem. Stał się moim literackim mentorem.

*Ten genialny egocentryk nauczył mnie, aby nie zajmować się literaturą cudzą, lecz swoją.*

## Co po studiach?

– Po kulowskich studiach nie było w Lublinie pracy. Zajmowałem się różnościami, proponowano mi pracę pomocniczą przedszkolanki, wyjazdy na wesele w celu uczenia chłopów jak jeść widelcem i nożem, przepisywałem prace. Tytuł jednej z nich to „Występowanie konwaliai (Convallaria majalis) w lasach chełmskich i włodawskich”. Pamiętać też będę do zgonu zdanie otwierające profesorską skrypt z weterynarii: „Na podstawie codziennych doświadczeń zauważamy, że krowy wydają na świat tylko krowy”. Prace te to był dodatek, przede wszystkim bowiem czytałem. Myślałem, że przerosłem wtedy wagon literatury, sześciociosłowy, z kłapami rozładunkowymi w podłodze. Ożeniłem się z piękną Barbarą, Bezpieczeństwo, w tym finansowe, zapewniała nam jej bardzo jak na owe czasy zamożna rodzina. Co tu dużo mówić, było jak w raju.

## Pracowałeś w biurze?

– Gdy pojawił się na świecie syn, poszedłem do pracy w biurze. Załatwionej po wielkich znajomościach. To był jeszcze inny peerelowski kabaret. Całe dnie jeździłem w poszukiwaniu materiałów biurowych. Czekaliśmy na nie w „hali maszyn” piękne panie, obok których stały kawy z trzecią dolewką i leżały klubowe, zaś nad wszystkim unosił się zapach perfum i kobiecego potu. Jeśli samiec mola wyczuwa samiczkę z kilometra, my byliśmy lepsi. Czuliśmy owe opary jeszcze w domu, przesiały aż do skóry. Wszyscy tam żyli w strachu, przed dyrektorem a

jeszcze bardziej przed tępa jak stolowa noga sekretarzyną partii. Już pod koniec pracy (porzuciłem ją po trzech miesiącach) zorientowałem się, że cały zakład był oprowadzany przez dwie, trzy rodziny. Wszyscy tam byli braćmi, siostrami, pociotkami, ale nikt się z tym nie zdradzał. Mówiono do siebie: „panie kierowniku”, „panie inspektorze”, „panie referencie”. Za trochę te partyjne rodziny, co sprytniejsi z nich, mogli się na tych zakładach uwłaszczyć. PRL skończył się dla mnie w 1981 roku. W lutym wyjechałem najpierw do Heidelbergu, potem do Moguncji. Praca na Tankstelle Aral to było coś zupełnie nowego... I można było znowu poświęcić jej spory rozdział. Jak doszło do powstania Wydawnictwa Test?

– Powrót do kraju pod koniec 1981 roku to nie był najlepszy pomysł. Jednak rozłąka z synem przerosła moje możliwości. Przez 13 dni pracowałem w NSZZ Solidarność przy Królewskiej, potem przeniosłem się na strajk w Świdniku. Niestety, przegoniono nas stamtąd za pomocą zwykłych milicyjnych palek, wspartych czolgami i bronią maszynową. Siedli z niej po murze hali głównej, na nasze głowy spisał się tynek. Wolalem więc ukrywać się w Lublinie, jednak to właśnie Świdnik jest miastem, w którym zaczęła się moja podziemna działalność. Już to opisywałem, dość powiedzieć, że wszystko, co nastąpiło potem, było konsekwencją tamtego strajku. Założenie wydawnictwa-efemerydy, praca podziemnego drukarza i kolportaż, współpraca z komisją podziemną FSC... Także wyjazdy do Puryżu, do Redaktora i znajomość z Mirkiem Chojcekim. Zaś gdy pojawiły się możliwości, założyliśmy z przyjaciółmi z podziemia Wydawnictwo Test. To był rok 1988. Opowiedz o zielonym przewodniku po Lublinie, który nadal nie ma sobie równych.

– W roku 2000 ukazał się ów przewodnik, który miał łącznie trzy

*Marzenia? Dość skromne. Przecież jeszcze kilka lat w jako takim zdrowiu, coś napisać, coś wydać. Jeśli się uda, umrę sobie kiedyś syt życia. Z przekonaniem, że tak miało być. Oraz z uczuciem, że było nie najgorzej a chwilami też pięknie – mówi Bernard Nowak*

FOT. MACO WYDAWNICTWA

wydania. Olbrzymia praca z wielkim, wspaniałym zespołem – której, gdybym miał jakiegokolwiek doświadczenie, nigdy bym nie zaczynał. No ale poszło, udało się.

*Wtedy poznałem Lublin na wylot. Jestem nie stąd, Poznanianem i chyba ta poznaniskość kazala mi być w każdym miejscu, o którym przewodnik mówi.*

## Trzy ukochane miejsca w mieście?

– Nie mam takich miejsc – a tym bardziej „ukochanych”. Jeśli kogoś Kocham, to moich synów i najbliższą rodzinę. Najbardziej lubię swoje mieszkanie, zaś poza nim oczywiście Stare Miasto, mój KUL (ciągle czuję się studentem) oraz Śródmieście. Miasto jednak to przede wszystkim ludzie, więc grupa przyjaciół, do których się chodził na gadanie i wódkę. Twoja książka „Wyroby duchowe” obejmująca siedem lat życia w Lublinie, oparta na osobistych notatkach, sprzedała się na pniu?

– Wolalbym o „Wyroby duchowych” nie mówić, bo jeśli ktoś chce, może poczytać. Mam jeszcze do życia trzy egzemplarze.

## Skąd ten Łobodowski?

– No, z Lublina – i jak to często, z przypadku. Głównym winowajcą jest Zygmunta Nasalski, który zorganizował sesję o jego twórczości. O mało co sesja przebiegła by pod patronatem ówczesnego prezydenta, jednak ten nie zdążył na razie odpowiedzieć na list. Datowany na 2009 rok, czyli w stulecie urodzin wielkiego lublinianina. Dobrze, że w ciągu czterech lat udało się – dzięki sowitemu wsparciu ministerstwa kultury – wydać 11 tomów pracy, wierszy i przekładów Atamana Łobody. To poznanie i, mam nadzieję, będzie czytane. Co to jest miłość? Co jest w życiu ważne?

– No, no, Panie Waldku... odważnie pan powiedź! Ale spróbujcie, niech tam!

Myślę, że dla każdego czyniś trochę innym – i coś innego jest ważne. Gdybym musiał rzeczywistość odpowiedzieć, trza by napisać mały traktat. W życiu jest ważne samo życie, bo to naprawdę wielki dar. Tyleż wielki, co przypadkowy – atarjmy się wykorzystać dany nam czas. Onz, o ile to możliwe, żyjmyz ludźmi wzgodzie. Z tymi, którzy są wokół nas – dopóki są. Bo innych nie będzie. Reszta jest u Konfucjusza. Lao tse. Kriahnamurtim i w Dezzydencie. No, dołóżmy do pełni Kazanie na Górze onz. Ojciec nasz, że życie jak jezdn tramwajem, masz nie czego trzymać nie polećisz z zakreću. Jakiej zasady się w życiu trzymasz?

– Który Urbanik? Pan Michał dorabia jako tramwajowy? Te niskie emerytury wielkich artystów to rzeczywistość skandal... A czego się trzymam? No, niczego wielkiego.

*Robię to, co lubię, piszę, co chcę i mówię, co uważam za konieczne.*

